AUTORKA MALWINY.

Długo zachwycała się czytająca publiczność romansem: *Malwina, czyli domyślność serca,* który w swoim czasie robił epokę tego rodzaju literatury, ale nazwisko autora nie było powszechnie znaném, ani wymawianém. Dziennikarze nawet ówcześni, skromniejsi widać od dzisiejszych, udających wszechwiedzę, nieśmieli zdzierać maski z anonimu; co dowodziło robi się próżnia i świat poznając wielkość straty, zaczyna się interesować najdrobniejszym szczegółem. I w tém właśnie największa trudność, gdyż dokumentów na tego rodzaju żywot, jak księżny Marji, trzebaby szukać w westchnieniach i modlitwach, otartych łzach i błogosławieństwach, tych nieszczęśliwych, których wyrwała z nędzy, których na-



Marja z Czartoryskich, księżna Wirtembergska.

(Rysunek zdjęty z oryginalnego portretu udzielonego nam łaskawie przez właścicieli.)

wielkiéj delikatności dla kobiéty nie chcącéj być nazwaną. Dopiéro bardzo późno zaczęto drukować nazwisko księżny Marji Wirtembergskiéj przyznając jéj autorstwo Malwiny. Ten sam szczegół przekonywa, że księżna w życiu swojém unikała wszelkiéj głośności; cichy, wonny fijołek, lubiła cień, co nie przeszkadzało zbliżonym do niéj, napawać się wonią tego anielskiego serca, które niepamiętne na siebie, pamiętało o każdym co cierpiał, co był nieszczęśliwym. Istoty takie zazwyczaj nie mają rozgłosu za życia, dopiéro z ich ubytkiem, lub po śmierci, prowadziła na dobrą drogę, którym przywróciła zdrowie, lub dopomogła do wykierowania się na ludzi użytecznych i uczciwych. Archiwum to Bogu jednemu w najdrobniejszym rysie dostępne, dla nas w ogólném zamyka się wyrażeniu: miłosierna, litościwa, pobożna.

O inne szczegóły zewnętrzne, światowe, łatwiéj; lubo te malując koleje życia, nie malują jeszcze wewnętrznéj treści, która u niéj była najcenniejszą cząstką.

Książe Adam Kazimierz na Żukowie i Klewaniu, Czartoryski, jenerał ziem podolskich,

feldmarszałek wojsk austryjackich i Elżbieta (Izabella) z Flemingów, podskarbianka W. X. Lit., byli rodzicami Maryi-Anny, która urodziła się na d. 15 marca 1768 r. i była najstarszą w rodzeństwie.

Pierworodne to dziecię stało się pociechą rodzicielskiego domu. Wrodzona słodycz, umysł prędko rozwijający się, kształt ciała, powaby twarzy pełne sympatycznego wyrazu, robiły ją przedmiotem uwielbienia dla mających szczęście otaczać ją, lub zbliżyć się do niéj. W pańskim tym dworze, wszyscy, do najniższego pachołka, przepadali za nią, przez nią wstawiali się do rodziców o każdą łaskę, o wsparcie i Marja od dzieciństwa była aniołem pocieszycielem, lub pośredniczką łagodzącą słuszne nieraz gniewy, lub surowość rodziców. Śliczna ta dusza nie mogła patrzeć na cierpienie, żeby je nie podzielić; a chociaż nieraz przygnębiona istota nie umiała opowiedzieć co jéj dolega, miała na to dar zgadywania, miała tę domyślność serca, którą późniéj położyła na tytule miłosnéj powieści.

Wychowanie Marji staranne i pańskie odbyło się pod okiem matki, kilka lat dzieciństwa spędziła na zagranicznych podróżach; potém rozwijała się wśród przepychów i wspaniałości Puław, tego czarującego parku opiewanego przez Delilla i innych rymotwórców zeszłego wieku. Jeden ze znamienitych poetów powiedział o jéj matce:

Więcéj myśląc o cudzéj, jak o swéj potrzebie,
Nieznajdziesz jéj z pannami na złocistych salach,
Lecz albo w chatach wiejskich, albo też w szpitalach.

Takie mając księżniczka Marja przed oczyma przykłady, stała się wzorem prostoty, dobroci i chrześcjańskiego miłosierdzia. Towarzystwo zaś rozmaitych znakomitości bawiących na dworze książęcym, kształciło jéj umysł w wysokim stopniu.

Zaledwie też doszła panieńskich latek, kiedy w r. 1784 na d. 28 pazdziernika przyszło jéj oddać rękę Ludwikowi księciu Wirtembergsko-Montbeillardzkiemu. Lubo przez związek ten wchodziła w powinowactwo z monarchicznemi dworami, nietylko nie wzbiła się w dumę z tego wyniesienia, ale owszem niemogła się z tém oswoić, że jéj tyle nowych wielkości przybyło.

Książe Ludwik służył w wojsku pruskiém, i był jak mówią popierany przez Fryderyka II; lecz to jest błędne mniemanie; rodzice bowiem jego, ściśle z dworem pruskim złączeni, niebyliby wcale sprzeciwiali się temu związkowi, przeciwnie nie zezwalali nań długo, z obawy ściągnienia na siebie nieukontentowanie króla pruskiego. Zdaje się że książe Ludwik był rzeczywiście podbity wdziękami i przymiotami księżniczki Marji. Ona również, przynajmniéj tak opiewa nadworny poeta Kniaźnin, w poemacie *Rozmaryn* poświęconym na cześć tego małżeństwa, po zwykłych wahaniach się i łzach, uczuła potrzebę wynagrodzić oblubieńca tą miłością, do jakiéj ją zobowiązywał:

Z pośród pieszczonéj swobody
Kwapliwa chwyta ją ręka,
I do złot. j niesie klatki:
Ona zaś do lubéj matki
Jak wonny listek różany
Świeżo z pączka oderwany.
Jakże okrutna to chwila!
Doznała jéj Amarylla,
Nim umysł smutnie wahany,
Serce, po *cięźkiéj przewadze*
Oddał miłości pod władzę.

Amarylla i Lindor! pod tym sielankowym kostiumem ukrywa się księżniczka Marja i ks. Ludwik. Acz nader trudno z sentymentalno-ckliwo-symbolicznego języka Kniaźnina, dojść rzeczywistych szczegółów, tyle jednak domyślam się, że książe konsystował gdzieś w okolicy Gdańska i tam posłyszawszy o pięknéj księżniczce, zapragnął ją poznać.

Konkury jego pochlebiając może rodzicom panny, nie doznawały z téj strony trudności; przeciwnie rodzice narzeczonego odmawiali wręcz swego pozwolenia. Tak przynajmniéj pisze baronowa Oberkirch w swoich pamiętnikach zawierających inne szczegóły tego marjażu.

Widać z jéj opowiadania, że niechęci na dworze rodziców jéj męża, nie miłe musiały robić wrażenie na pannie wielkiego domu, wychowanéj w pieszczotach i liczącéj się w swoim kraju do najświetniejszych partji, gdyby miodne chwile miłości małżeńskiéj nie osładzały tych upokorzeń. Nowy ten jednak rodzaj dworskiego, etykietalnego życia dla niéj, wychowanéj w swobodzie wiejskiéj, w prostocie patryarchalnéj, choć na świetnym rodziców dworze, nie przypadał do serca, a nawet stawał się nieznośny. Mawiała też nieraz o tém w starości swojéj, gdy wspominała dawne czasy. Do niéj możnaby zastosować słowa poety:

„Wyniesiona do szczytu pragnęła się zniżyć.“

Niewiadomo jak długo przeciągnął się jéj pobyt w Montbeillard; ten tylko szczegół wiadomy, że starzy księstwo bardzo ją polubili i chcieli zawieść do Paryża oraz prezentować na dworze Wersalskim. Z drugiéj strony książe Ludwik, zostający w służbie króla pruskiego, pragnął wrócić do swoich obowiązków, a mianowicie żonę swoją pokazać na dworze poczdamskim.

Aczkolwiek wiele miał dla niéj pociągu projekt podróży do Paryża, téj stolicy dowcipu i elegancji, gdzie mogła z bliska widzieć tyle głośnych znakomitości, a mianowicie poznać królowę Marję Antoninę, będącą wówczas przedmiotem uwielbienia i dumy całéj Francji, jednakowoż w szlachetnéj swéj duszy umiała

odróżnić od własnéj przyjemności obowiązek małżonki i bez wahania się wybrała drogę do Pomeranji. Jeżeli dziś Pomorze pruskie liczy się do bardzo smutnych krajów, to czemże musiało być w upłynionym wieku, kiedy ciemnota i grube obyczaje jéj mieszkańców odpowiadały dzikiéj i jałowéj ziemi. Nic naturalniejszego że się znalazła tam zupełnie obcą, prawie wygnanką. Piękna ta dusza umiała jednak uprzyjemniać sobie to położenie, dzieląc tęskne i długie chwile osamotnienia. Wykształcona na literaturze francuzkiéj, postanowiła pisać w języku autorów, których uważała za swoich mistrzów, których lubiła i wtenczas to miały wyjść z pod jéj pióra wiersze pełne wdzięku, których świat nigdy nie znał; a jeśli ich udzieliła komu, to chyba doświadczonym przyjaciołom pod pieczęcią tajemnicy. Podobno, że z przejściem miodnych miesiąców, nastąpiła dysharmonia w stosunkach małżeńskich, przewidywana trochę przez dobrą księżnę Montbeillardzką. Zdają się to wyjaśniać niektóre ustępy w późniejszym jéj romansie: *Malwinie*, gdzie bohaterka ma niejakie familijne podobieństwo z jéj własną osobą.

Utrzymywano téż może nie bez przyczyny, że autorka kreśliła poniekąd dzieje swojego serca.

Otóż i ustęp z téj niby autobiografji.

...„Z razu, to zupełne opuszczenie zasmuciło i zatrwożyło Malwinę, ale szczęściem natura dała jéj imaginację żywą i chęć zatrudnienia się. Te dwa przymioty broniące ją od nudów, uczyniły stan Malwiny nietylko znośnym, ale często nawet przyjemnym.

„Obfita biblioteka pozwalała jéj kształcić umysł dziecinny jeszcze i w zasa·y pewne ustalić.... przytém niegardziła niewieściemi robotami, a ranki i wieczory poświęcała długim przechadzkom pomiędzy skałami, lasami i t. p. Nieraz w tych samotnych przechadzkach serce jéj znajdowało miłe zajęcie, gdy do ubogich chat wstępując, pocieszenie, dobry byt i zdrowie, co zatém idzie, ze sobą przynosiła. Błogosławieństwo starych, dzięki młodych, uśmiech dzieci, odbierała w nagrodę, i wieczór, do ponurego swego zamku z najpogodniejszém sercem wracała.“

W tym portrecie heroiny romansu, nieznajdą się może wszystkie rysy księżny Marji, ale jest coś co naprowadza na myśl że był ze wspomnień kreślony. To pewna że kwasy domowego pożycia nie były wkrótce żadną tajemnicą na zewnątrz i skończyły się seperacją.

Z małżeństwa tego pozostał jeden syn, którego matka przeżyła.

Księżna odzyskawszy niepodległość swoją, całkiem oddała się pracom literackim i miłosiernym uczynkom. Póki uczucia były świeże, wyobraźnia żywa, złudzeń wiele, póki nie odkryła właściwego powołania do jakiego przeznaczyła ją Opatrzność, dopóty oddawała się literaturze i szukała towarzystw błyszczących nauką i dowcipem. Zapewne wiele płodów zdarła, lub oddała zapomnieniu, zanim piérwszy jéj utwór, godny publikacji ukazał się. Utworem tym była *Malwina czyli domyślność serca*, wydana bezimiennie w Warszawie 1816 r. we dwóch tomikach. Romans ten mogący się nazywać piérwszym prawdziwym romansem w polskiéj literaturze, mającéj dotąd *Koleandra i Leonildę, Julję i Hipolita* i trochę powieści moralno obyczajowych, zrobił wrażenie, a nawet obudził krytykę Jana Śniadeckiego, który acz matematyk, dobrze ten płód osądził, mianowicie ze względów stylu i polszczyzny, która nie była zbyt poprawną.

Barwa, szczegóły, osoby działające w tym romansie mają tę główną zaletę, że są wcale wierném odbiciem czasów wojennych księztwa warszawskiego. Figurują tu romansowe damy, eleganckie, zalotne i ładni oficerowie, którzy jak w szeregach nieprzyjacielskich, tak w sercach robią ogromne spustoszenie. Intryga cokolwiek zawiła i niepodobna do prawdy, bo zasadzona na nieporozumieniu co do osoby Ludomira, który miał swego Sobowtóra w drugim bracie, bliźniaku, podobnym do niego jak dwie krople wody, utrzymuje ciekawość do samego końca urozmaiconą jeszcze ruchliwością akcji, przenoszącéj czytelnika w różne sfery towarzyskie i miejsca.

Najwybitniejszą cechą tego romansu, nie są same przypadki i zawiłości, lecz pewna atmosfera poetyczna i sentymentalna rozlana na całość. Piérwszy też raz spotykamy się z nią w Malwinie, jest to poezja serca, poezja wewnętrzna opowiadająca swoje tajemnice i powlekająca melancholicznym urokiem ten świat jaki autorka wywołała przed nasze oczy. Taki utwór spojony z osobistością autora, wyłączał się tém samém od innych płodów literackich, w których widzimy tylko nabytki i sztukę piszącego. Malwina więc w tym względzie, była zwiastunką zbliżającego się romantyzmu. Z drugiéj strony spotykamy się w romansie tym ze studjami nad społeczeństwem otaczającém autorkę, społeczeństwem wyższém stołecznego miasta. Jest to niemal piérwszy krok stawiony na drodze samodzielnych studjów, traktowanych nie w sposobie Satyry, jak dotąd bywało w zwyczaju, lecz jak charakterystyka rzeczywistości, wprawdzie słaba jeszcze, niepewna siebie, ale mogąca za skazówkę służyć. Weźmy np. ową Dorydę, elegantkę, zalotną, mieszającą się we wszytkie komeraże, kłócącą wszystkich i nielubioną od każdego; jakiż to wyborny typ swojego czasu! Nie mogąc ona dłużéj znieść ciężaru nudów w Warszawie, umyśliła nareszcie przedsięwziąść długie podróże zagraniczne i tęsknotę, a raczéj czczość swoją przenosząc z miejsca na miejsce, nie więcéj zaznać szczęścia za granicą, jak na ojczystéj ziemi zaznała.

W toku powieści często spotykać się można z takiemi rysami w lot pochwyconemi z towarzystwa ówczesnego; są to oryginały jakich i dziś nie braknie tylko pod inną formą, odpowiednią naszéj epoce. W rozdziale pod napisem: *Kwesta*, pokazała autorka bohaterkę swoją Malwinę, wychodzącą z woreczkiem zbiérać dla ubogich, co jéj nadało sposobność oprowadzać nas po różnych warstwach społeczeństwa i ukazywać jak w kalejdoskopie: tu miłosierdzie przy ubóstwie, tam zatwardziałość przy bogactwie i zbytku, owdzie pyszne skąpstwo i próżność, lub światowe roztargnienie i lekkość przy niezłem sercu. Niektóre rysy są tu trafnie pochwycone z widoczną chęcią zbliżenia się do rzeczywistości, na którą zwykle literatura ówczesna patrzała przez szkiełko szkoły klasycznéj, a właściwie niechciała na nią patrzéć, woląc szukać dla siebie wzoru w oklepanych przypomnieniach Grecji i Rzymu.

Można tedy przyjąć za zasadę że od *Malwiny* poczyna się u nas powieść domowa i to nie zaraz; pierwéj musiała ona przejść przez sentymentalizm wyalembikowany *Nierozsądnych Ślubów*, przez ckliwe listy *Adolfa* i *Julji*, przez cały szereg nudnych i martwych romansów *à la Walter Scott*, żeby dojść do przekonania że to na co patrzymy, tak samo może dostarczyć materjału dla piszącego, jak książki, które mniéj więcéj szczęśliwie kopiowano. Malwinie brakło tylko wyższego pisarskiego talentu, żeby była wcześniejszą zrobiła reformę w świecie estetycznych wyobrażeń. Z resztą romans uważany był za fraszkę; trzeba było poezji, żeby mogła zmierzyć się z przeciwnikiem i wyprzéć go z zajmowanego stanowiska.

Domyślam się, że *Malwina* napisaną została w czasach Księstwa Warszawskiego, i to po katastrofie 1812 roku. Czy więcéj księżna napisała co w tym rodzaju? niewiadomo mi. Niektórzy utrzymują że powieść: *Polak w S. Domingo* także wyszła z pod jéj pióra; lecz ma to być utwór innéj autorki, po francusku oryginalnie napisany i przetłumaczony na polskie. Drugiém dziełkiem jéj, które doznało wielkiéj wziętości i doczekało się wielu wydań, jest *Pielgrzym w Dobromilu*. Są to rysy z dziejów wplecione w opo wiadania z wieśniaczego żywota. Moralność praktyczna podaje tu rękę historycznym wspomnieniom, które tym sposobem stają się mniéj oderwane. *Pielgrzym* ukazał się pierwszy raz w r. 1817 i odtąd forma ta popularna przyjęła się i znalazła swoje zastosowanie.

Prace te były to krótkie wytchnienia, od obowiązków jakie przyjęła na siebie, a właściwie od tych zajęć jakiemi napełniała swoje życie oddane całkiem staraniom o duszę, przez miłosierne uczynki hojną ręką i radą rozrzucone, na wszystkich dotkniętych cierpieniem i nieszczęściem. Spełniała je też z gorącością chrześcianki i poświęceniem się siostry miłosierdzia.

Żyjąc ciągle przy boku rodziców, a mianowicie matki, która o lat kilkanaście męża swego przeżyła, czuła się prawdziwie szczeéliwą; bliskość drogich osób starczyła jéj za wszystkie przyjemności i wielkości świata. W późnéj starości, kiedy już straciła matkę, zwykła była często powtarzać: „Jakżeż to słodko! kiedy córka nieodłącza się od matki! Bóg i rodzice to mi wystarczało w życiu, aby zapełnić wszystkie pragnienia i tęsknoty mego serca.“

W ośmdziesiątym roku życia wyjechała z Wiednia, gdzie długi czas bawiła i przeniosła się do Paryża. Umysł jéj zawsze czerstwy, pogodny, żywy, niedoznawał lat ciężaru; umiała należyć do każdéj rozmowy i prowadzić ją z ujmującym wdziękiem, a niekiedy okraszać dowcipem.

Wiele doznawszy przykrości w ciągu żywota, wierzyła w poczciwość ludzi i nikogo niepomawiała o chęć robienia złego dla złego. Owszem, każde utrapienie przypisywała słusznéj karze Opatrzności, za ułomności nieodłączne od natury człowieczéj. Z gorącą wiarą w nieograniczone miłosierdzie Boże, pożegnała ten świat na dniu 21 października 1854 r. i nie można powiedzieć żeby ją był zepsuł swoimi pieszczotami, lub żeby ona nie wypłaciła mu w trójnasób, tuląc do swego serca każdą nędzę, każde nieszczęście, jakie spotykała na swojéj drodze.

Lucjan Siemieński.

U R Y W E K.

Znużone myślami
Nad tajnią stworzenia,
Wieki za wiekami,
Z rozpaczą zwątpienia,

Idą ku wieczności.
A wieczność każdego
Spotyka i bada:
„Cóżeś dla ludzkości

„Uczynił dobrego?“
—„Zapytaj drugiego!“
Każdy odpowiada.

I cóż się wprzyszłości
Objawi i stanie?

O! Zbawco! o! Panie,
Myśl własna mię trwoży,
Lecz w Tobie otucha.
Oświeć lud twój Boży
Światłem twego ducha!

A. E. Odyniec.

ŁOWIEC NA POSAGI.

(Z księgi wspomnień K. Wł. Wojcickiego.)

W parę lat zjawił się naprzód u pani majorowéj sąsiad jéj blizki, dziedzic dwóch pięknych wiosek, pan Kawęcki i przedstawił jéj najstarszego syna, który świeżo powrócił z Paryża. Poważnéj matronie, szczególnie się podobał pan Adolf, młodzieniec *dystyngowanéj maniery*, jak wyrażała się mówiąc o nim. A co jéj najwięcéj uwagę zwracało, to głębokie uszanowanie jakie pokazywał dla niéj. Nigdy nie śmiał usiąść w jéj obecności, aż dopiéro za jéj prośbą. Słuchał każdéj jéj mowy z natężoną uwagą, żadném słówkiem nie przerywając. Wyrażał się o swych podróżach zagranicznych skromnie a powabnie, słowem po kilku odwiedzinach, pani majorowa pomyślała sobie: „To mąż będzie wyborny dla mojéj Klarci.“

Powziąwszy to przekonanie przy najpiérwszém widzeniu z Adolfem, zachęciła go zręcznie do odwiedzania dworu Zagajskiego, uprzedziwszy wcześnie Klarę o przymiotach wielkich młodego Kawęckiego.

Wnuka ciekawą była poznać, tak zachwalonego przez babkę kawalera, to też nie bez wzruszenia usłyszała jego nazwisko, gdy brat jéj doniósł o przybyciu Adolfa do Zagaja.

Pułkownik odczytawszy list pani majorowéj do siebie pisany, w którym polecała mu oddawcę, młodzieńca *dystyngowanéj maniery*, przyjął uprzejmie i gościnnie.

Klara przybyła późniéj, bo w krucze włosy wplotła kilka świeżych kwiatów. Na jéj widok, zerwał się pan Adolf i utaić nie mógł wrażenia jakie na nim zrobiła piękna i ujmująca postać dziewicy.

Ale i młoda wnuczka majorowéj okazała się mniéj obojętną dla urodnego gościa, pomimo całéj swéj powagi i władzy nad sobą utajenia wrażeń, które silniéj wstrząsały jéj sercem.

Po kilkogodzinném poznaniu, wszyscy polubili pana Adolfa. Pułkownik ciekawie słuchał opowiadania jego o piérwszych stolicach w Europie, które dawniéj sam zwiedzał na czele swego bataljonu, a następnie pułku. Władzia ujął przyjacielskiém i pełném prostoty obejściem; stary kapral chwalił w nim że szanuje siwiznę, bo mu podał rękę i powiedział kilka słów przyjaznych, a panna Klara, nie znalazłszy w nim nic do przygany, zaczęła oceniać jego przymioty. Szereg ich był widać nie mały, bo po odjeździe Adolfa westchnęła i osmutniała, piérwszy raz poczuła silniejsze uderzenie serca i zapadła w głęboką zadumę. Wieczorem, wbrew swemu zwyczajowi, dłużéj siedziała przy fortepianie i wygrywała najrzewniejsze melodje.

Miesiąc blizko upłynął od téj chwili, a pan Adolf Kawęcki nie pokazał się więcéj we dworze pułkownika. Klara jakimś tajnym niepokojem trapiona, trzy razy odwiedzała babkę w Dąbrowie, używając konnéj przejażdżki to z bratem, to ze starym kapralem. Ale i tam nie spotkała się z Adolfem, lubo pani majorowa, zawsze rozwodziła się z wielkiemi o nim pochwałami i chlubiła się że tydzień nie upłynie a odbiera od niego dwie albo trzy *wizyty*.

— Był tu wczoraj moja Klarciu, mówiła do wnuki, nasz miły sąsiad ;pan Adolf i przepędziłam bardzo przyjemnie z parę z nim godzin. Gdzież on nie był! Wszystko widział, a umiał dobrze przypatrywać się wszystkiemu, bo ślicznie wszystko opisuje. Zdawało mi się że w jego miłém towarzystwie zwiedziłam Paryż, Londyn, Edymburg, góry szkockie, Rzym, Florencję, pływałam po morzu lub po lagunach uroczéj Wenecji.

Klara słysząc te słowa babki doznawała niezwykłego wzruszenia, a wracając do Zagaja, albo stępa jechała ze spuszczoną głową, głęboko zamyślona, lub też pędziła galopem z rozognioném obliczem, jakby uchodziła przed niewidzialną pogonią.

Zbliżały się *Zielone Świątki*, stary kapral według dawnego zwyczaju robił *w wigilję* przygotowania, przystrajając ganek dworu w zielone gałązki brzeziny. Klara wzięła z nich jednę aby przy swym oknie postawić, ale gdy weszła do ogrodu, zadumana usiadła na ławeczce pod stuletnim dębem.

Długo siedziała jakby w osłupieniu, a pierś jéj wznosiły ciche westchnienia. Jakaś tajemnica ciężyła na jéj sercu, a powierzyć jéj nikomu nie chciała. Teraz przyszła jéj na pamięć postać drogiéj matki, téj jedynéj przyjaciołki i opiekunki. Klara była jakby w zachwyceniu, wzrok utopiła w anielskie oblicze

pojawionéj mary; długo patrzyła w jedną ustroń ogrodu w pobliżu, gdzie na tle zieleni stała postać rodzicielki w białéj szacie, z rozpuszczonym jak len warkoczem, usta jéj szeptały jakieś słowa, ale tłumił je powiew lekki i gwar ptastwa.

Kiedy przyszła do siebie i odwróciła głowę w przeciwną stronę, ujrzała z podziwieniem stojącego wśród krzaków rozkwitłego bzu pana Adolfa, który wpatrywał się w jéj uroczą postać.

Stłumiła w sobie okrzyk radosny, ale nie mogła ukryć wzruszenia, które wybiło żywym rumieńcem na jéj lica i zapaliło niezwykłym blaskiem jéj czarujące, pełne życia spojrzenie. Zerwała się co prędzéj z ławeczki, podbiegła ku oczekiwanemu tak długo, a podając mu z lekka rękę, wyrzekła uprzejmie, drżącym nieco głosem.

— Witamy pana szczerze, jakkolwiek bardzo rzadkiego gościa w naszym samotnym i żałobą okrytym dworku.

Adolf ująwszy podaną białą i kształtną rączkę Klary, całował ją z uczuciem i odrzekł wpatrując się w jéj rozpromienione oblicze.

— Daruje mi łaskawa pani, żem tak dawno nie był w Zagaju. Ojciec mój często zapada na zdrowiu, długo żyłem swobodnie i bez troski, bo on się za mnie i za siebie kłopotał. Obowiązkiem więc moim starość wyręczać i poświęcać jéj usłudze i te nawet chwile, którebym policzał do najszczęśliwszych w życiu, jako spędzone w towarzystwie drogich sercu memu osób.

Klara cofnęła się nieco, bo ujrzała nadchodzącego brata; z nim razem udali się do dworu, gdzie do wieczora zabawił pan Adolf.

Od téj doby, coraz częściéj odwiedzał Zagaje młody Kawęcki, zyskując względy całéj rodziny. Klara była coraz weselsza, a jakąż radością serce jéj uderzyło, gdy z początkiem jesieni, przybyła babka, zapytała jéj z cicha, czy przyjmie oświadczyny pana Adolfa, po których pragnie, ażeby odbyły się w jéj domu zaręczyny.

Nie znalazła sędziwa majorowa odmowy ani u wnuki, ani u zięcia, o czém zawiadomiła zaraz za powrotem pana Adolfa, który szczęścia swego i radości zataić nie potrafił.

Pani majorowa szanując stare zwyczaje, pamiętając sute swoje zaręczyny, po dawnemu je wyprawiła. Liczne grono rodzin dwóch przyjaciół i krewnych przepełniło dwór w Dąbrowie, proboszcz miejscowy poświęcone obrączki złote przy serdecznéj przemowie udzielił młodéj parze. Dzień ten był dniem szczęścia i wesela szczerego zarówno dla Klary jak i dla Adolfa. Ślub odłożono do zapust następnego roku; sześć tylko miesięcy przeznaczono na sprawienie wyprawy i urządzenie dworu w *Lipówce*, wiosce sąsiedniéj pani majorowéj, którą stary Kawęcki najstarszemu synowi przeznaczył na dziedzictwo.

Tego roku wcześnie zawitała zima; już w połowie Listopada obfite śniegi spadły, a mróz dochodził do 15 stopni. Na początku Grudnia straszna zamieć przerwała wszelkie stosunki pomiędzy wioskami, wieśniacy z chaty do chaty dokopywać się musieli: przez ciąg czterech prawie tygodni, najbliższe dwory były bez wieści o sobie. Dopiéro przed *Bożem Narodzeniem*, gdy mrozy zwolniały przy powiewie ciepłego wiatru, śnieg stajał pod promieniem palącego słońca i drogi puste dotąd, zaroiły się jadącemi i idącemi.

Dwór w *Zagaju* więcéj od innych zasypany śniegami, blizko od miesiąca nie miał żadnéj wiadomości ani z *Dąbrowy*, ani od Adolfa.

Daremnie *stary kapral*, widząc niepokój i smutek panienki swojéj, wysyłał posłańców: jeden po drugim z najżwawszych parobczaków, każdy zmarzły wracał z tą odpowiedzią, że dwóch parowów przy drodze przebyć nie można. Sam się wreszcie wybrał i przekonał o téj smutnéj prawdzie.

Nazajutrz, zaraz po odwilży, przybył konny posłaniec od majorowéj, z doniesieniem o jéj zdrowiu, ale zarazem w liście jéj wyczytała Klara, że stary Kawęcki niebezpiecznie chory, a syn niemoże odstąpić od jego łoża. W parę dni przybył nowy posłaniec z listem, w którym babka donosiła smutną wiadomość o śmierci ojca Adolfa, co zapewnie zpowoduje odwleczenie oznaczonego dnia ślubu.

Po wspaniałym pogrzebie na którym pułkownik z dziećmi i majorowa byli obecnemi, po ukojeniu piérwszego żalu, Pan Adolf, za piérwszą bytnością w *Zagaju*, oświadczył, że czas żałoby przynajmniéj do roku ślub odwlecze i jego szczęście, które tylko może ukoić boleść, po zgonie ukochanego ojca.

Rzeczą była zwyczajną taka przewłoka, przyzwoitość sama ją nakazywała. Wyprawa kończyła się i w ciągu dwóch miesięcy była gotową. Pan Adolf za każdą bytnością w *Zagaju* opowiadał szczegółowo, jak dwór w Lipówce przygotował na przyjęcie młodych małżonków. Wkrótce wszakże jego odwiedziny u pułkownika coraz bywały rzadsze, a wprędce potém zupełnie zaprzestał bywać. Ciche wieści poczęły krążyć że gdzieindziéj uderzył w zaloty. Pani majorowa wierzyć temu nie chciała, zarówno jak pułkownik i sama Klara.

O trzy mile od *Lipówki* zamieszkał od roku dawny kupiec bogaty *Königsman*, kupiwszy milionowy majątek. Miał córkę młodą i urodną, wychowaną w Dreźnie, którą właśnie po ukończeniu edukacji sprowadził do siebie, bo sam wdowiec tęsknił w swoim obszernym wiejskim pałacu. Przed jéj przybyciem objeżdżał bliższe sąsiedztwa, polecał się łaskawéj pamięci obywateli i zapraszał na obiad, aby dzień powrotu jedynaczki uczcić uroczyście.

Nie zapomniał wstąpić i do pana Kawęckiego. Ujęty uprzejmém młodego Adolfa przyjęciem, zachwycony gdy mógł po niemiecku z nim się rozmówić tak dobrze jakby ze swoim rodakiem, powtórzył jak najserdeczniéj

swoje zaprosiny, nie tając się z tém, że byłby najszczęśliwszym z ludzi, gdyby mógł mieć podobnego zięcia. Mówił że całe dobra bez długu i bez Towarzystwa Kredytowego nawet, oddałby swéj Karolinie w posagu, a sam odetchnąłby swobodnie, bawiąc zimową porą w Berlinie a latem u jedynaczki kochanéj.

Po wyjeździe bogatego niemca, pan Adolf, który go odprowadził aż do stopni wiedeńskiéj karety, usiadł na ganku i zasępiony zaczął dumać i dumać, zapomniawszy nawet o ulubioném cygarze.

W tę właśnie porę przyjechała pani Smulska jego ciotka, rodzona siostra zmarłego ojca. Kobiéta dawniéj bogata i światowa, tracąca resztę dużego majątku na stroje i podróże zagraniczne. Wprędce dowiedziała się o stosunkach rodzinnych i zaręczynach pana Adolfa, czego nie pochwalała wcale.

— Moja Basiu, mówiła do owdowiałéj bratowéj a matki Adolfa, przecież mogliście lepszą, korzystniejszą wynaleść *partję* dla swego syna. Adolfek przy tém wychowaniu i polorze, śmiało uderzyć może o rękę najbogatszéj hrabianki lub księżniczki. Teraz młodzież droga i bardzo droga. Wreszcie ma brata i trzy siostry, pułkownikówny majątek nie wystarczy na ich spłacenie. To mi się wcale, wcale niepodoba.



Pan Adolf i majorowa.

Pani Kawęcka, łagodne, potulne ale ograniczone stworzenie, słuchała z pokorą słów wymownych bratowej i nic nie mówiąc, wzdychała tylko, a wspomniawszy na śmierć męża, płakała.

Adolf z Lipówki przybył na herbatę do matki, opowiedział ze wszystkiemi szczegółami odwiedziny jakie otrzymał od Krezusa okolicy Königsmana i powtórzył jego słowa.

Matka spojrzała mu w oczy jakby z niemym wyrzutem, ale ciotka klasnęła w ręce z radością.

— Gwiazda szczęścia zaczyna ci przyświecać mój Adolfku! pocałowała go w głowę i na uboczy długą a cichą wiedli rozmowę.

Ciotka wymownie mu dowodziła o znaczeniu bogactwa, jakie daje stanowisko każdemu w społeczności, o szczęściu którego tylko w pieniądzach szukać należy. Adolf z początku odpierał jéj zdania, ale nie długo zamilknął i słuchał z uwagą.

Widać że wiele z jego przekonań zachwiała, bo od téj chwili, już się nie pokazał w *Zagaju*, a czekał niecierpliwie dnia przeznaczonego na odwiedziny Königsmana.

Wcześnie kazał przyrządzić pojazd i liberję dla ludzi, ubierał się sam w dobrane suknie i przeglądał w zwierciadle, jakby najkorzystniéj się pokazać. Żadna mu myśl w tém zajęciu nie przypominała jego narzeczonéj, ani skutków jakie wyniknąć muszą z zerwania stanowczego z rodziną pułkownika.

Nadszedł dzień upragniony tak gorąco przez Adolfa, wcześnie się zerwał z rana nucąc wesoło. Całą noc marzył tylko o przyszłém szczęściu jakiego dozna, zostawszy najbogatszym panem w całéj okolicy.

Usiadł przed *toaletą* i zaczął starannie przyczesywać bródkę i wąsy, skrapiając je pachnidłami, gdy pod ręką ujrzał zwitek papieru. Rozwinął go, był to po zaręczynach piérwszy list Klary. Zerwał się na równe nogi, jakiś niepokój go ogarnął, ale przytłumił piérwsze wzruszenie, dobył cygaro, a zapalając je pognieciónym gniewnie listem, mruknął zachmurzony:

— Postanowiłem zerwać, i dotrzymam słowa rozumnéj ciotce; niech z dymem ulecą słowa miłosne rozmarzonéj i eksaltowanéj pułkownikównéj. Dwakroć sto tysięcy najwyżéj posagu! to na dwa lata ledwie *porządnego* życia! mnie trzeba miljonów.

Spokojnie dopalił cygara, i wystrojony, uśmiechnięty, wsiadł do kocza, zaprzężonego w cztery dobrane kasztanki, dając woźnicy polecenia przez całą drogę, jak ma zajeżdżać przed pałac i wiele razy hucznie trzaskać z bicza.

Za przybyciem do *Krowodrzy*, wsi, któréj nazwiska nowy dziedzic wymówić nigdy nie potrafił, gdzie się wznosił wspaniały pałac, znalazł Kawęcki liczne grono sąsiadów już zebranych, którzy jakkolwiek żartowali sobie z początku z *niemca*, jednakże ochoczo zjechali, zobaczyć piękną i bogatą dziedziczkę.

Stary Königsman z uprzedzającą uprzejmością przyjął pana Adolfa i zaraz przedstawił ukochanéj Karolinie.

Liczyła ona rok ośmnasty życia, była postaci wątłéj ale kształtnéj, jasna blondyna, z oczyma niebieskiemi. Na białym przezroczystym licu, przebijały słabe kolory. Nie była to piękność, ale dziewczę powabne, otoczone całym urokiem młodości.

Jakkolwiek matka jéj była polką, mieszczanką z Nieszawy, gdzie ją poznał ojciec, wówczas berliniarz pruski i umiała macierzysty język, ale przez długi pobyt w Dreznie, zapomniała go i nie śmiała się odezwać po polsku.

Pan Adolf, doskonale znający język niemiecki, w nim rozpoczął rozmowę, czém miał od razu wyższość nad resztą zebranéj młodzieży, która umiała trochę po francuzku i to niegruntownie.

Pannie Königsman wielce się podobał młody Kawęcki a gdy ofiarował się, że chętnie będzie jéj nauczycielem, aby przypomniała sobie rodowity język,podała mu uprzejmie rękę, a ściskając dłoń podaną, serdecznie dziękowała za tak niespodziewaną dobroć.

Po sutym obiedzie, który się przeciągnął do późnéj nocy, rozjechali się zebrani goście. Ostatnim był pan Adolf, którego dłużéj Königsman przytrzymał, ażeby mu powiedzieć, że podobał się bardzo jego Karolince i że prosi, ażeby częstemi odwiedzinami raczył ich uszczęśliwiać.

Równo ze świtem przyjechał do *Lipówki*, z radości nie spał ani chwili, przebrawszy się tylko pośpieszył do dworu matki, aby zdać raport o swéj wycieczce rozumnéj cioci.

Zastał właśnie przy śniadaniu zebraną całą rodzinę. Opowiedziawszy szczegóły przyjęcia, uczty i przepychu jakie tam ujrzał, pysznego pałacu, pełnego obrazów, rzeźby i kosztownych mebli z gobelinami, które dawny dziedzic równie jak zbierane od trzech wieków pamiątki przez swych przodków, sprzedał Königsmanonowi, a sam się przeniósł do Paryża, poprosił *ciocię kochaną* na uboczną rozmowę i wtedy jéj opisał wymownie postać pięknéj Karolinki, jak od razu wpadł jéj w oko, jak go ściskała za rękę, jak ojciec zapraszał i co mu mówił. Ciotka wysłuchawszy wszystkiego z baczną uwagą, z nieopisaną radością zaczęła go ściskać, a rozczulona i rozrzewniona ze łzami przerywanym głosem przemówiła.

— A.... widzisz mój Adolfku, słuchaj doświadczonéj ciotki. Widać żeś się w czepku urodził. Teraz ci winszuję i skłaniam głowę przed panem miljonowym. Ach! cóżbym za to dała, żeby mój Adaś mógł podobnego szczęścia doczekać, jakżebym była dumną matką!

Po chwili dodała.

— Czyś stanowczo zerwał *z tą* pułkownikówną?

— Przestałem zupełnie bywać od czasu przybycia cioci do nas.

— To dobrze! ale trzebaby odesłać pierścionek z zaręczyn i wszelkie pamiątki jakie masz od niéj.

— Żadnych nie mam, oprócz jednego bileciku, który wczoraj spaliłem i obrączki złotéj.

— To dobrze! teraz napisz list z lekką a grzeczną wymówką, że się z nią żenić nie możesz i że zrywasz stanowczo. Pan Adolf pomyślawszy chwilę odrzekł:

— Oczywiście kochana ciociu, że tak zrobić wypada, ale ja sądzę, że dopóki ostatecznie nie skończę z Karolką, jeszcze politykować nieco wypada. Po Königsmanownie, w całéj okolicy najposażniejsza pułkownikówna, jeżeli jedna chybi, to druga dopisze!

— Dobry z ciebie rachmistrz mój Adolfku. Nacieraj że starego w Krowodrzy, a zręcznie pal cholewki do blondynki.

— Już niech ciocia to mnie zostawi, znam się dobrze na tém, bawiąc tak długo w Niemczech; z niemi niéma tyle korowodów jak z naszemi polkami, co to posagu za fenig, a duma królowéj. Za dwa dni jadę uczyć Karolkę po polsku, zawinę się koło niéj po naszemu, a ślub...

I na tych słowach się zaciął.

— No! i cóż ślub? zapytała ciekawie ciotka.

— Ale bo to świeża po ojcu żałoba.

— W tak ważnym interesie mój Adolfku, gdzie o miljony idzie, skrupuły dziecinne na bok się usuwają. Żałoba swoją drogą a ślub swoją. Wszakżeż wesele może odbyć się cicho i skromnie? Nie obrazisz tém pamięci ojca, który cię z niebios będzie błogosławił za tak rozumny postępek.

Po téj rozmowie, która umocniła w powziętych zamiarach pana Adolfa, wybrał się on do *Krowodrzy* i w ciągu dwóch tygodni odbył drugie zaręczyny z panną Königsman. Stary ojciec płakał z radości, że spełnił swoje zamiary, bo mu się zięć szczególniéj podobał. Oświadczył więc, że zaraz po ślubie odda mu całe dobra, a sam w jesieni na całą zimę pojedzie do Berlina i tam na swoją rękę rozpocznie handlowe obroty gotowemi kapitałami!

Nic więc nie brakło do szczęścia młodéj Karoliny, starego Königsmana i Adolfa, zarówno jak jego ciotki. Tylko sędziwa Kawęcka, milcząca zawsze, w zakątku swoim płakała, modląc się gorąco przed obrazem Matki Boskiéj Częstochowskiéj, bo jéj serce macierzyńskie nie przeczuwało szczęścia dla pierworodnego syna.

O nowych zalotach tak ulubionego jéj *kawalera dystyngwowanéj maniery*, dowiedziała się najpierwéj majorowa, jako najbliższa sąsiadka i wierzyć temu nie chciała. Niedługo przyszła wieść nowa, że Pan Adolf już po zaręczynach z bogatą Königsmanówną—i że zerwał stanowczo z jéj wnuką. Jak piorunem rażona, nie wiedziała sama co począć; posyłać do *Zagaja* nie śmiała, niemając ztamtąd żadnéj o tém wieści. Mówiono jéj tylko, że chwalił się zięciem przed panem *Janem Nekandą* z Zacisza stary Königsman, gdy go odwiedzał i targo_

wał pszenicę na spław do Gdańska. Zacisze, jak mówiliśmy, było to wójtostwo dawne, a od czasów Jana Sobieskiego w posiadaniu rodziny Nekandów, obejmowało do 15 włók dobréj ziemi i właśnie gospodarzył na niém Jan Nekanda, dawny nasz wojskowy, a przy nim mieszkał siwy i złamany wiekiem ojciec, pan kapitan, towarzysz broni tak pułkownika jak i majora. Pan Jan, liczył rok trzydziesty dziewiąty życia, średniego wzrostu, krępawy ale składny, miał oblicze prawdziwe męzkie, na którém, równie jak w wielkich niebieskich oczach, malowały się szczerość, prawda i otwartość. Oddany z zapałem pracy rolnéj, słynął w całéj okolicy jako najlepszy gospodarz. Domator, rzadko gdzie bywał, w Zagaju odwiedzał tylko pułkownika dwa dni w roku, to jest na jego imieniny i na świętą Klarę. Za życia pułkownikowéj, w dzień jéj imienin, wraz z sędziwym ojcem, stawał pierwszy między winszującemi.

Kiedy grono zalotników dwór Zagajski napełniało, a zachęcano i Nekandę by uderzył w konkury, smutnie potrząsając głową odpowiadał z rzewnym uśmiechem:

— Za wysokie to progi, na moje nogi! Dowiedziawszy się o zaręczynach Klary z Adolfem, zachmurzył wyniosłe czoło, ale nie wyrzekł słowa i osmutniały palił fajkę lub siedział w kącie zadumany, dopóki z ojcem i proboszczem niesiadł do codziennego marjasza, który był jedyną rozrywką pana kapitana.

Mało go przy pracy codziennéj zajmowały wieści obiegające z okolicy, ale słuchał czasem gdy pachciarz Abrahamek, płacąc mu za mléko tygodniowo, opowiadał, co gdzie się stało, lub dzieje. Od niego dowiedział się o kupnie dóbr przez Königsmana, o przybyciu córki młodéj i pięknéj panny, o wspaniałéj uczcie. Słuchał tego obojętnie paląc fajkę, gdy nagle zbladł na słowa usłyszane od Abrahamka.

— Panicz z Lipówki, co to był zaręczony z naszą panną pułkownikowną, zerwał wszystko i stara się o bogatą córkę Königsmana.

— To bajka! zawołał po chwili.

— Nu! nie bajka! wielmożny pan się przekona, że jutro mają być jego zaręczyny w Krowodrzy, odrzekł pachciarz głaszcząc brodę.

— A to nikczemnik! krzyknął z uniesieniem pan Jan, wyjąwszy z ust cybuch, i uderzając silnie w stół pięścią, aż odskoczył przestraszony pachciarz.

— Stary pan z Krowodrzy jeździ po okolicy i skupuje pszenicę, on wie że wielmożny pan ma 500 korcy jak złoto, pewnie niedługo przybędzie, to sam opowie, bo wszędzie się chlubi, że córkę wydaje za panicza z Lipówki.

Nekanda słowa nieodrzekł, tylko chodził wielkiemi krokami, z opuszczoną głową na piersiach. Pachciarz widząc jego smutek, cicho na palcach, nie czekając nawet pokwitowania z zapłaconego tygodnia, wyniósł się ze dworu.

Rzeczywiście na trzeci dzień, przyjechał nejtyczanką Königsman do Zacisza, zakupił po wyższéj jak targowa cena cały zapas pszenicy jaki miał Nekanda i po dwakroć mu oświadczył, że skoro już po zaręczynach jego Karolinki z Kawęckim, on teraz znowu się bierze do handlu zbożowego, bo po ślubie oddaje całe dobra zięciowi swemu.

Pani majorowa, nie tracąc czasu, aby mieć pewną wiadomość o postępowaniu Adolfa, napisała list do Nekandy, prosząc ażeby niebawnie raczył ją odwiedzić, gdyż ma pilny interes. Posłaniec jéj właśnie przybył. Nekanda w godzinę późniéj już był w drodze do Dąbrowy, gdzie go z otwartemi rękoma powitała strapiona matrona.

— A jakże się masz, kochany panie Janie! czekałam ciebie jak zbawienia. Powiedz mi szczerze, zaklinam cię na twój honor, czy prawda że Königsman był u ciebie i mówił ci o zaręczynach Kawęckiego ze swoją córką?

— Był u mnie Königsman onegdaj i sam mi po dwakroć opowiadał, że nietylko już po zaręczynach, ale ślub się odbędzie w pierwszéj połowie Stycznia!

Majorowa załamała ręce:

— A żałoba? a słowo dane mojéj Klarci, a zaręczyny? i mówiąc te słowa, zaniosła się od płaczu.

Nekanda wzruszony był do głębi boleścią tak zacnéj matrony, którą szanował i czcił jak matkę.

— Pani majorowo dobrodziko! tu łzy nic nie pomogą, trzeba działać, rzekł spokojnie.

— To się nieda już niczem naprawić (mówiła tłumiąc łzy nieszczęśliwa babka) podłość można zrobić, ale zatrzeć jak ją można? Nie znasz panie Janie serca mojéj Klarci—to była pierwsza jéj miłość i zawód tak srogi w pierwszym na świat wstępie. I ja to sama popierałam ten związek, ja to polecałam go i pułkownikowi i wnuczce! A dziś rumienić się muszę za mój wybór, skorom się dała zwieść temu nikczemnikowi. Wszakżeż Klarcia moja, mogłaby znaleść równie zacnego jak godnego kochania męża, ona co jest równie dobra jak piękna!

— Wiem, odrzekł Nekanda, że się złe niczem naprawić nieda, że dla pułkownikownéj zawód to srogi i bolesny, że rany jéj serca nieprędko zgoić się mogą, ale jest prócz tego inna rzecz, którą miałem na myśli—honor naszego pułkownika i całéj rodziny. Czyż można dozwolić, aby jeden młokos dla podłéj rachuby, tak nikczemnie postępował i narażał spokój naszych rodzin bezkarnie? Nie, to rzecz nasza, pani majorowo! my to bierzem na siebie jako święty obowiązek. Prawo żadne nienaznacza kary na podobne postępowanie, ale potrafiemy ukarać podłość i dać naukę pamiętną, ażeby drudzy bez obawy tak swobodnie nie broili. Nieznaliśmy dotychczas pomiędzy młodzieżą naszą takiéj nikczemności, złe to żeby się niekrzewiło, musi się wytępiać i wytępiemy je mówię to jak mi honor miły i jak szanuję panią majorowę.

Gdy to mówił, oblicze jego promienia-

ło niezwykłym zapałem, oczy rzucały blask szczególny, cała, postać z olbrzymiała, a gdy silniejszym głosem ostatnie wyrzekł słowa i wzniosłszy prawicę pogroził, majorowa stanęła zdziwiona, widząc Nekandę, pierwszy raz w takiem wzruszeniu, pomyślała: to prawdziwie piękny mężczyzna, z piękną i szlachetną duszą!

— Dziękuje ci kochany panie Janie, za tak gorące współczucie, dziękuję i wyciągnęła do niego drżące ręce, które ucałował z poszanowaniem.

Jeszcze nieochłonął zupełnie Nekanda, gdy zatętniały kopyta na podwórzu i pani Majorowa ujrzała pędzącego galopem wnuka Władysława, a za nim starego kaprala. Obaj osadzili w niejscu przed gankiem i zeskoczyli z siodeł Władzio, oddawszy swego konia Jacentemu, wbiegł do komnatki babki, gdzie ją ujrzał siedzącą na kanapie i stojącego przy niéj Nekandę.

Wnuk z miłością i uszanowaniem powitał ukochaną babkę, chciał mówić ale się zaciął i spojrzał na gościa.

— Mów wszystko co chciałeś mój Władziu! to nasz przyjaciel serdeczny. Zapewnie chcesz mię uwiadomić o zaręczynach pana Adolfa Kawęckiego z panną Karoliną Königsman. Oboje już o tym wiemy dokładnie.

— Oto list jego i obrączka ślubna, którą zwrócił mojéj siostrze—rzekł Władysław wyjmując mały pakiecik.

— Powierz mi te dowody podłości nikczemnika, zawołał Nekanda, wyciągając rękę.

Władysław chwilę się wahał, ale na dany znak babki, oddał wszystko, Nekanda po przeczytaniu listu; smutnie potrząsnął głową, a westchnąwszy ciężko z cicha wymówił:

— I taki człowiek potrafił zyskać serce panny Klary!

Majorowa szepnęła kilka słów wnukowi, który z całą ufnością zbliżywszy się do Nekandy, podał mu rękę, a ściskając serdecznie, wyrzekł rzewnym głosem:

— Pomocy i rady! kochany panie!

— Pomoc i radę znajdziemy ale będziemy radzili sami; rozumiesz mnie panie Władysławie. Teraz rozerwijmy w smutku i boleści szanowną panią majorowę.

Wysłał potém posłańca do ojca że musi dłużéj zabawić w Dąbrowie, i pozostawszy nie wspominając już o tym wypadku tak bolesnym dla serca sędziwéj babki, zwrócił rozmowę na inne przedmioty, a opisując swoje podróże po Włoszech, Francji i Niemczech, tak niemi potrafił zająć jéj uwagę, ze zapomniała chwilowo o swojéj trosce.

Kiedy wraz z wnukiem żegnał się idąc na spoczynek do blizkiéj oficyny. Majorowa rzekła do siebie:

— Mój Boże! szkoda żem tego zacnego człowieka nie poznała pierwéj. To mi prawdziwy mąż dla biédnéj Klarci, on by zapewnił jéj szczęście na całe życie. I zamyślona długo siedziała w swéj komnatce.

Do północy trwała narada między dwoma młodemi, nazajutrz po śniadaniu u majorowéj, wyjechali razem. Pan Władysław odwiedził po raz piérwszy *Zacisze* Nekandy i wyjechał ze skromnego dworku pełen zachwycenia.

— O moja Klarciu, mówił siostrze, w nieszczęściu dopiéro poznaje się prawdziwych przyjaciół! Cóż to za człowiek ten pan Jan Nekanda, co za szkoda, żeś go dawniéj, *dawniéj* (dodał z przyciskiem) nie poznała!

A gdy ta spuściła oczy załzawione, opowiedział ze szczegółami swoją bytność u babki i pomoc jaką otrzymał od sąsiada tak blizkiego.

Klara jakby odzyskała dawną moc nad sobą, rzekła do brata spokojnym głosem.

Pragnę mój Władziu zataić wszystko do ostatniéj chwili przed ojcem, byłby to cios zbyt wielki dla niego.

— Jużem o tym myślał i zleciłem Jacentemu, aby czuwał pilnie przy nim. Stary kapral wié wszystko, trzęsie się ze złości, ale rozumié potrzebę tajemnicy

Przy obiedzie, pan Władysław wspomniał o swych odwiedzinach w *Zaciszu*, opisywał z zapałem skromny dworek ocieniony lipami, rozkład jego, starego kapitana i jego syna, pełnego szlachetności i przyjaźni dla całéj rodziny Ligenzów.

Pułkownik słuchał uważnie, poczem odrzekł:

— Moje dzieci! zacny to ród Nekandów. Stary kapitan, to mój towarzysz broni, dzielny żołnierz, w domowych stosunkach rzadkiéj słodyczy i dobroci człowiek. Ożenił się po powrocie z kampanji, bo dla ciężkich ran służyć dalej niemógł i osiadł w Zaciszu. Żona jego pełna dobroci kobiéta, uboga szlachcianeczka z Podlasia, cały posag przywiozła z sobą na jednéj dwukonnéj furce. Ale uszczęśliwiła pana Franciszka, bo zaprowadziła ład i gospodarstwo w Zaciszu. W rok późniéj urodził się im jedynak: to właśnie jest Pan Jan o którym mówisz. I to żołnierz był waleczny, połączył w sobie przymioty ojca i zacnéj matki swojéj. Ale jakoś na *Zagaje* niełaskawi. Prawda, parę razy do roku odwiedzają, a zresztą jakby nas sto mil dzieliło. No! niedziwię się staremu kapitanowi, bo to wiek i rany dokuczają, to nieochoczy do wyruszenia z dworku, ale pan Jan!

— Nigdzie mój ojcze nie bywa, a jak mi wczoraj mówił, niechce narzucać się ludziom, nigdzie zaś bydź niemoże upragnionym gościem.

— I pan Jan (mówił dalej pułkownik) już do marcowych kawalerów się liczy. Szkoda że się dotąd nie ożenił. Człowiek taki potrafi każdą uszczęśliwić kobiétę, i sam przy poczciwéj żonie znaleźć także szczęście dla siebie.

Klara w milczeniu słuchała całéj rozmowy.

(D. n.)

Wiadomości Literackie.

Trachinki, trajedja Sofoklesa, przekład Kazimierza Kaszewskiego.

Dwadzieścia trzy wieków z górą dzieli nas od Sofoklesa, ale utwory mistrza greckiego zawsze są jednakowo urocze barwą nieśmiertelnego piękna, wypływającą ze źródła prawdy i wielkiéj, wdzięcznéj prostoty, która jest najgłówniejszą zaletą starożytnego poety. Bohaterka wyżéj wymienionéj tragedyi Dejanira, jakkolwiek z fantastycznéj wyprowadzona legendy, jest wybornym typem kobiéty kochającéj i zawiedzionéj w swéj miłości, a zazdrość, to znów niepewność względem losu ukochanego małżonka, wszystkie nakoniec uczucia stanowiące siłę i zarazem słabość niewiasty, wyrzeźbione w postaci Dejaniry, budzą zajęcie i żywe współczucie widza. Wielki grecki poeta, jako jeden z najznakomitszych dramatycznych pisarzy starożytności, oceniony jest już należycie tak w dawnéj, jako też nowoczesnéj literatur ze. Zdaniem naszém te tłumaczenia arcydzieł greckiéj literatury najwięcéj zbliżone są do oryginału, w których pisarze nie wiążą się rymem, łatwiéj bowiem w prostym miarowym wierszu odtwarza się w całéj sile i wdzięku myśl i forma pierwowzoru. W przekładach greckich poetów na język nowożytny wierszem rymowym, nie mniejszą trudność napotyka tłumacz, jak gdyby chciał poetyczną prozę przełożyć wierszem, oddając przy tem wiernie myśl i formę oryginału. P. Kaszewski daje nam przekład trzeciego już utworu Sofoklesa wierszem rymowym, trudności o których mówiliśmy, pokonał w Trachinkach prawie wszędzie zwycięsko; język dobry, wiersz gładki i potoczysty, stanowi niepospolitą zaletę tego sumiennego przekładu.

Dziennik J. St. Jabłonowskiego, wydany przez Wł. Chomętowskiego.

Wkrótce wyjdzie na widok publiczny 1sza część Dziennika Jana St. Jabłonowskiego, drukowanego w Gazecie Polskiéj; zawiéra przedostatnie dwa lata panowania króla Jana IIIgo (R. 1694—1695). Czytelnicy Gazety Polskiéj mieli sposobność ocenić ważność historycznego materjału, w którym strona obyczajowa narodu tak wyrazistym jest odmalowana pędzlem. Część 2ga i 3cia zawierająca wypadki dotyczące się ostatnich chwil króla bohatera, bezkrólewie i pierwsze lata panowania Augusta IIgo, wydane będzie także niezadługo; sprawozdanie z dalszego ciągu Dziennika (R. 1696—1702) podała już Gazeta Polska, po wydrukowaniu 1éj części tegoż.

WSPOMNIENIE DWULETNIEGO POBYTU W JAWIE.

(Wyjątek z dziennika podróży odbytéj w ostatnich czasach).

(Ciąg dalszy).

II.

Piérwsza noc na lądzie. — Kąpiel. — Przechadzka po mieście.— Dzień jeden w Indjach.— Miasto chińskie. — Kupcy wędrowni — Spacer nocny. — Dom do najęcia.

Znużony dniem spędzonym w takich trudach, spragniony byłem snu, chcąc w nim znaleść zapomnienie moich kłopotów; upatrywałem niecierpliwie wygodnego łóżka. Niestety! łóżko to z kolumnami i kotarą, osłonione gazą od owadów, miało tylko jeden materac cienki, twardy, pikowany jak poduszka od powozu. Oprócz zwyczajnych poduszek, dali mi jeszcze dwa wałki, których użytku nie znałem zupełnie. Zawołałem Ahmotta, chłopca do posługi, śpiącego pode drzwiami, wskazałem na wałki; odpowiedział mi na migi że one służą do opierania nóg, poczem odszedł. Mniemałem że już koniec moim kłopotom, chcę drzwi zamknąć na klucz, kręcę i obracam go w zamku. Niepodobna! wszystko najzupełniéj zardzewiało.

— Ahmott!

— Thowan! (Thowan po malajsku znaczy pan.)

— Ahmott! zamek zepsuty, nie lubię spać przy drzwiach otwartych.

— Thowan!

— „Czy słyszysz? chcę drzwi zamknąć?“

Niema odpowiedzi, trzeba znów udać się do pantominy; chłopiec wreszcie zrozumiał o co chodzi, zamknął obie połowy drzwi, założył drągiem i odszedł mówiąc mi dobranoc.

Życzenie dobréj nocy w Indjach!.... co za szyderstwo! dobranoc! kiedy już słyszę naokoło brzęczenie komarów, kiedy czuję że te drapieżne owady rzucają się na mnie, aby wyssać wszystką krew moją!

Miałem się już wreszcie położyć, kiedy postrzegam na ścianie dwie szare płaskie jaszczurki z czarnemi świecącemi oczkami, wielką głową i ogonem podobnym do liścia szałwi.

— Ahmott! Ahmott! krzyknąłem znowu.

— Thowan!

— Ślicznie uprzątasz mój pokój, zostawiasz w nim jaszczurki!

Chłopiec otworzył szeroko usta pokazując dwa rzędy czarnych zębów, i wskazał palcem na sufit, gdzie było jeszcze ze dwadzieścia podobnych płazów.

— Jak można żyć z temi obrzydliwemi stworzeniami? zawołałem z gniewem, wypędź mi je natychmiast!

— Thowan!

— Ależ! gniewasz mnie z twoim ustawicznym Thowan! wypędź mi to brzydactwo i idź do djabła!

Ahmott dusząc się od śmiechu począł zbierać jaszczurki i wyrzucać je przez okno, lecz natychmiast inne wychodziły ze szczelin i przekonałem się, że się ich pozbyć niepodobna; położyłem się zatém spać w téj menażerji, myśląc czy obudzę się żywy jutro. Co za noc okropna!

Przebudziłem się jednak, lecz z najokropniejszém paleniem i swędzeniem ciała. Zrozumiałem dopiero mękę św. Wawrzyńca żywcem upieczonego. Wołałem o kąpiel, chociaż sądziłem, że będzie kosztować drogo, jak wszystko tutaj. O radości! powiedziano mi że można ją mieć darmo o każdej porze. Biegnę do łazienek hotelowych, które podobne do eu-



Zbiór rośliny Siry.

ropejskich, tylko wielki kruczek miedziany, umieszczony w górze nad wanną zdaje się zapraszać do zimnych oblewań. Woda naturalnie nie jest ogrzana, ciepła kąpiel niepodobnąby była w téj gorącej strefie. Widziałem sąsiadów moich udających się do kąpieli w ubiorach z białego perkalu, nie bardzo pięknych zapewne, ale nader wygodnych bo ułatwiających prędkie rozebranie i ubranie; zaraz dziś biorę ten ubiór i te wyborne pantofle bez pięt, których poznałem teraz wygodę.

Po śniadaniu, złożonem podobnie jak wczoraj z masła, sera i herbaty, idę na miasto oddać kilka listów i parę wizyt nieuchronnych. Podług zwyczaju krajowców muszę ukończyć wszystkie interessa przed dziesiątą godziną, a teraz już siódma. W czasie téj przechadzki uważałem kilka domów europejskich; są one idealnie wygodne i przyjemne. Pokoje obszerne, chłodne, największa czystość w nich panuje, na meblach safian zastępuje jedwab i aksamit, jako stosowniejszy do klimatu. Ogrody oczyszczone, pełne różnych prześlicznych drzew, których niema w Europie.

Batawia ma ulice nadzwyczaj szerokie, a domy rzadko jeden obok drugiego stawiane; jest to raczéj szereg oddzielnych willi czyli mieszkań letnich. Godną jest także uwagi rezydencja króla Niderlandzkiego; pałac nie wielki wprawdzie, szczególniéj w stosunku godności właściciela, ale bardzo piękny, gustowny i jak inne otoczony wspaniałym ogrodem. Naprzeciw budynku nad rzeką, gdzie odbywają się czynności handlowe, zwrócił uwagę moją wspaniały most, stawiany przez chińczyków. Budowa jego jest piękną i śmiałą, łuk tak mocno zagięty, że konie z trudnością nań wstępują, a podróżni trwożą się i lękają upadku.

Pan O.... jeden z najzamożniejszych francuzów mieszkających w Batawji, przyjął mnie najuprzejmiéj; w pobliżu jego mieszkania stoją koszary artylerji i domy bogatych kupców. Jest to jedna z najznaczniejszych części miasta, która zowie się *ulicą europejską*.

Czas upływał szybko, a z każdą godziną powiększał się nieznośny upał, duszący, prawie śmiertelny dla europejczyków, sądząc po tych których spotykam bladych, ponurych, pochylonych na poduszkach powozu. Stanowią oni dziwną sprzeczność z tłumem krajowców biegających i pozdrawiających się wesoło. Rankami gęste mgły odświeżają nieco powietrze, ale po nich następuje światło tak olśniewające i tak silne, że wsystkie przedmioty zdają się tracić swój właściwy kolor. Powietrze stało się coraz gorętszem, byłem jak w rozpalonym piecu, oddychałem ogniem, pot ciekł mi z rąk a usta pragnienie osuszało, jeślim go zaspokoił, za chwilę stawało się jeszcze nieznośniejsze, lepiéj zatém nic nie pić. Pomimo spiekoty, kurzu niema z powodu wilgoci gruntu, tak zgubnéj dla zdrowia mieszkańców; przyczyną jéj są rosy poranne i obfite deszcze, a nadewszystko źródła podziemne.

Gorąco i znużenie, nie przeszkadzało mi patrzeć z największém zajęciem na tłumy krajowców przesuwających się do koła. Te postacie typowe, te ubiory niezrównanéj oryginalności zachwycały mię niewymownie. Wspaniałe tutejsze światło dzienne, przejrzyste niebo i bujna roślinność w pośród której przechadza się brązowy indjanin, odziany w swoje świetne szaty, wszystko to razem sprawia urok niewypowiedziany. W pośród tego mnóstwa ludzi na wpół odzianych, ileż to w Europie dostrzeglibyśmy kalectw i niemocy, tu spotykamy tylko, silne i zdrowe postacie o szerokich ramionach. Rażą jednak duże i płaskie ich nogi z palcami oddalonemi od siebie. Zajęła mię żywo płeć krajowców przybierająca swój koloryt od otaczających przedmiotów. W pośród np. piaskowatéj drogi malajczyk wyglądał czarno, na błękitnych wodach morskich czerwono, wśród roślin zielonych, przybierał odcień fioletowo różowy. Zatopiony w tych uwagach, zaszedłem właśnie do części miasta najbardziéj zajmującéj. Stanąłem nad brzegiem kanału, przez który przesuwały się liczne statki malajskie. Otacza go z jednej strony rzęd ślicznych domków chińskich, z drugiéj długi i ozdobny park którego wijące rośliny przeglądają się w wodzie i tworzą cudny widok. Miejsce to zamieszkałe jest po większéj części przez chińczyków, którzy je zabudowali według swego upodobania. Mosty i posągi są ich dziełem, pokopali kanały, utrzymują przemysł i handel, oraz zbytek w ubiorach i obyczajach. Są to biédni wygnańcy których nędza zmusiła porzucić własną ojczyznę. Założyli tu wielką kolonję na wzór Nankinu. Ulice w niéj szerokie, domy najrozmaitszych kształtów, facjaty ozdobiono oryginalnemi rzeźbami, żywe kolory wszędzie widzieć się dają, a wystawa sklepów i magazynów zachwyca oczy.

Europejczyk nie może wyobrazić sobie dokładnie hałasu i ruchu, jakie panują w mieście chińskiém. Krajowcy, jedzą, piją, sprzedają, kupują, kłócą się i biją; pośród nieskończonego biegania przekupniów, tragarzy, jeźdźców, palankinów krzyżujących się i popychających nawzajem, w głowie się kręci, duszą nieprzyjemne wyziewy. Byłem ogłuszony hałasem i prosiłem Boga, abym mógł żywy wyjść z tego chaosu, a zaledwie wyszedłem, znów tam powracałem tak dziwnych i nowych doznawałem wrażeń!

Po zwyczajnéj drzemce i lekkim posiłku, usiadłem przede drzwiami hotelu, gdzie oblegli muie zaraz przekupnie rozkładając rozmaite towary; podawali mi na wyścigi kapelusze, konfitury, scyzoryki, perfumy, harmoniki, trzewiki, kamizelki i skarpetki włóczkowe.

Najwięcéj zajął mnie koszykarz w kapeluszu nakształt parasola, niosący na lasce bambusowéj również bambusowe koszyki, małe pude-

łeczka używane do drobnéj monety, podobne do gwiazdeczek, łyżki kokosowe i t. d. Koszykarz ten zakryty był prawie cały swoim pięknym towarem.

Ażeby skrócić porę wieczorną wyszedłem znowu; przechadzka wieczorna nie jest tu przyjemną, bo w braku światła księżyca, ciemność zupełna panuje na ulicach oświeconych tylko słabym blaskiem lamp. Nie podobna odróżnić ziemi, wody, drzew, a nawet trudno by było wyminąć się z czarnemi i bosemi krajowcami, gdyby nie rozkaz policji zmuszający ich nosić od zmierzchu pochodnie bambusowe, niektórzy mają w koszykach latarnie papiérowe, wyglądające bardzo zabawnie. Idąc, wydają niekiedy okrzyk głośny i płaczliwy podobny do krzyku sowy; w ogólności uważałem że mówią przez nos, bardzo głośno i piskliwie. Przechodząc pod drzewami usłyszałem nagle głosy dziwne, podobne do skowyczenia lisa, prędkie, urywane i odpowiadające sobie nawzajem. Mimowolnie przyśpieszyłem kroku; powróciwszy do domu dowiedziałem się, że odzywały się w ten sposób ogromne nietoperze, przelatujące każdego wieczora z północy na południe. Położyłem się znów w łóżko, moja zasłona naprawiona cokolwiek, czyniła mi nadzieję spokojniejszéj nocy, ależ czy można spać słysząc na dworze krzyk nietoperzy, a w pokoju świst jaszczurek, moich zwyczajnych towarzyszy?

Obudziłem się nazajutrz z usposobieniem głęboko smutném, byłem prawie zjedzony żywcem od komarów, a do tego fundusze moje coraz się zmniejszały; groziło mi zupełne bankructwo, w hotelu bowiem wszystko było nadzwyczaj drogie. Nie namyślając się długo poszedłem zwierzyć się z mych kłopotów panu O.... bogatemu kupcowi, który tak dobrze mię przyjął wczoraj. Powiedział mi że byle na skromném poprzestać utrzymaniu, życie w Batawji nie jest tak drogie, mieszkania tylko kosztują wiele ale i to mniéj w stosunku jak u nas.

Tego samego wieczora, wsiadłem w powóz państwa O... i po godzinném szukaniu znaleźliśmy ładny biały domek, z napisem „*do najęcia.*“

III.

Domy Europejskie. — Roślina Siry. — Mieszkania malajskie w okolicach Batawji. — Drzewo Areka. — Mój domek.

Domek który otworzyła nam stara malajka, był otoczony dwoma niewielkiemi, ale prześlicznemi ogrodami, najpyszniejsze drzewa i kwiaty, ptaki cudowne zgromadziły się tutaj. W drugim ogrodzie długi i wązki budynek, z ładną kolumnadą bambusową, zawierał kuchnię, łazienkę, mieszkanie dla służących, stajnię, wozownię i t. d. Domek ten był podobny do wszystkich tutejszych z małą wystawą, z kolumnami i wysokim dachem, nie pięknym wprawdzie, ale wybornie zastosowanym do upałów i deszczów ulewnych. Wszystkie pokoje obszerne i czyste, ściany bielone wapnem, korytarze bez drzwi, nad sypialnemi pokojami wielkie okna nie oszklone aby przepuścić mogły więcéj powietrza, podłogi zaś cegłane, ale w bogatych domach bywają marmurowe, z wielkim kosztem sprowadzane z Europy

To miłe mieszkanie odnajęto mi za czterdzieści rupji (dziewięćdziesiąt franków) na miesiąc. Nazajutrz zrobiłem małą wycieczkę w głąb kraju, w towarzystwie państwa O.... dwóch jeszcze pań i ich mężów, oraz pewnéj damy francuzkiej, świeżo do Batawji przybyłéj. Trzy powozy wypakowane żywnością, przy których niesiono duże dzbanki z wodą, stanowiły naszą karawanę; sześciu czarnych służących nam towarzyszyło. Przebyliśmy nowe miasto, zamieszkałe przez bogatych kupców; mieszkania ich są wspaniałe, ogrody i trawniki cudne; na boku widać było piękną wioskę chińską. Trudno by opisać wszystkich piękności kraju tego, napotykaliśmy z daleka długie rzędy lasów, gdzie niegdzie wody przejrzyste w których się niebo odbijało, wielkie ptaki przechodzące się po łąkach, albo czarną twarz Indjanina w cieniu drzew i liści.

Wjechaliśmy w las, widziałem po raz pierwszy, roślinę kawy, daléj plantacje Siry któréj liść wygląda jakby napuszczony wapnem pieprz turecki. Indjanie mięszają roślinę tę do tytuniu i ona to czyni ich zęby czarne, a ślinę jak krew czerwoną.

Siry jest roślina pnąca jak nasz chmiel, która opasuje drzewa i płoty, byliśmy obecni zbieraniu liści. Mężczyzni, kobiety i dzieci, obcinają je i znoszą staruszkom, siedzącym nad wielkiemi tacami bambusowemi, na których składają te liście. Te rozmaite postacie, tak czarownie ugrupowane, to słońce przeciskające się przez gęste liście drzew jakby deszczem iskier złocistych, wszystko to tworzy obraz uroczy, zdolny razem oczarować i do rozpaczy przywieść malarza, w którego, nigdy nie zatrze się pamięci.

Spotkałem tamże pewien rodzaj drzewa palmowego najmniéj jeszcze znanego w Europie, owoc jego zwany areka, okrągły, żółty jak pomarańcza, jest wielkości śliwki, pestki jego indjanie mieszają także do tytuniu, który żują ciągle. Nadwieczorem zwiedziliśmy jeszcze chatę indjiską. Była ona pokryta słomą, tak nazywają uschłe liście bambusowe, zupełnie do słomy podobne. Kobiéty malajskie wyszły naprzeciw nas, kłaniając się po tysiąc razy; małe dziewczynki które nigdy nie były w Batawji z podziwem patrzały na ubiory pań naszych; Wszyscy przyjmują nas gościnnie i szczerze, dzieci rozściełają maty pod nogi, paniom wchodzącym do chaty, przynoszą bananów i mléka z orzechów kokosowych, które

podług mnie jest równie niedobre do picia, jak sam orzech do jedzenia. Domek jest prawie pusty, ławy bambusowe zastępują stół i stołki, łóżka matami zasłane. Kuchnia urządzona w najprostszy sposób, dziura w podłodze i dziura w dachu, oto wszystko! Kilka naczyń z orzecha kokosowego, wielki garnek gliniany, zaczerniony imbryk od kawy, oto sprzęty; nie potrzeba dodawać że jedzą tu palcami, a talerze zastępują liście bananowe. Pomimo to wszystko nasi gospodarze są bardzo przyjemni, pełni miłéj gościnności i uprzejmości bez uniżenia. W kilka dni potem sprowadziłem się do mego nowego mieszkania, raz jeszcze je obejrzałem i znalazłem równie zachwycające jak pierwéj. Za parkanem bambusowym otaczającym ogród, rozpostarła się taż sama bujna roślinność, którą widziałem w naszéj wycieczce, bo tutaj sztuka tak zawsze połączona z naturą, że można spotkać zupełnie dziki krajobraz w pośród angielskiego parku.

IV.

Soerabaja wielki kanał. — Miasto Europejskie. — Cyrkuł chiński. — Kucharze przejezdni. — Targ pod dachem (Bazar Glapp). — Cyrkuł Jawański — Cmentarz Jawański.

Z Batawji udałem się do Söerabaja, gdzie przybyłem po czterech dniach żeglugi, miałem więc czas podziwiać piękność wybrzeży morskich, które prawie ciągle mogliśmy widzieć, równie jak mnóstwo statków arabskich, malajskich i chińskich, płynących wzdłuż brzegów.

Dawniej już zwróciły uwagę moją pływające tratwy bambusowe przytwierdzone do statków malajskich, tu dopiero poznałem ich użytek, który jest dosyć szczególny. Nie tylko ten dodatek wstrzymuje statek od pochylenia, ale dozwala lepiéj rozwinąć żagle. W czasie burzy dowódzca statku umieszcza tam kilku ludzi, aby ich ciężar utrzymywał równowagę statku. Ztąd wyrażenie malajskie „wicher na jednego, na dwóch, na pięciu ludzi.“ Skład tych łodzi czyli tratew oznacza wyborną znajomość sztuki.

Przystań Söerabaja jest w ciaśninie Madura którą tworzą wyspy tegoż nazwiska i wybrzeża jawańskie; tam przybił nasz statek i równie jak w Batawji popłynęliśmy do miasta kanałem, którego brzegi otoczone roślinami tworzą najwdzięczniejszy widok. Pomiędzy podwójnym rzędem statków krajowych krąży flota łodzi statków cudzoziemskich. Na lewo widać piękną fortecę, daléj ulice, domy jawańskie i chińskie, wreszcie na prawym brzegu pokazuje się miasto europejskie. Najprzód magazyny i składy ryżu, kawy, tytuniu i korzeni w które kraj ten obfituje, daléj szeroka ulica wysadzona stuletniemi daktylowemi drzewami, ocieniającemi pałac rezydencji, pocztę, najznaczniejsze domy handlowe i hotel Schmidta, gdzie stanąłem. Wszystko co widziałem było dla mnie tak nowe, że długie godziny spędzałem przed drzwiami mego mieszkania, przypatrując się téj prawdziwéj latarni czarnoksiężkiéj w jéj tysiącznych obrazach. Tu śpią pod drzewami roznosiciele wody, tam dobywają towary ze statków i wysiadają podróżni; kupcy wędrowni częstują mnie towarami już nie europejskiemi, są to najrozmaitsze wyroby z rogu, kości słoniowéj, szyldkretu, cygara, materje krajowe, a co mnie najwięcéj zachwyca, śliczne ptaki z wysp Moluckich. Po ulicach przesuwa się tłum rozmaity złożony z chińczyków, malajów, wśród których jednak przeważa ludność jawańska. Fałdzista tunika, obcisły kaftan, turban na głowie w rodzaju spiczastéj czapki pokrytéj na wierzchu niebiesko, z podszewką czerwoną, naszywany złotem i srebrem, oto jest ubiór jawańczyków. Tutaj przeciwnie jak w Batawji kolory jaskrawe mało są używane; szafirowy, ciemno czerwony i czarny najwięcéj widzieć się daje. Księża których łatwo poznać po białych turbanach, są tu w większéj liczbie jak w Batawji. Po rzece przejeżdżają ciągle lekkie statki obciążone towarami, na drugim brzegu domki chińskie widać zdaleka. Poszedłem najprzód zwiedzić miasto europejskie, ale jakież rozczarowanie! Söerabaja choć zdrowsze ma powietrze, nie jest wspaniałym ogrodem jak Batawia, jest to raczéj rodzaj zacieśnionéj fortecy gdzie widocznie oszczędzano przestrzeni, bo domy stoją jedne przy drugich. Idźmy więc zwiedzić wielki most, na przeciwko pałacu rezydencji stojący, a za nim kraj chiński. Tu znowu spotykam ruch nadzwyczajny. Po lewéj stronie ulicy są sklepy z najpiękniejszemi towarami, po drugiéj mieszkania bogatych chińczyków otoczone galerjami lub sztachetkami z lakierowanego drzewa ozdobianego złotem, wszędzie widać świecące fajansowe wazony w których rosną cudowne kwiaty, albo karłowate drzewa palmowe i pomarańczowe. Zwiedziłem jeszcze wielki budynek, gdzie odbywają się targi, składa się on z trzech jednostajnych galerji bardzo długich, które tworzą rzędy ogromnych słupów pokrytych dachem zniżającym się coraz bardziéj. W środku mnóstwo rozmaitych przedmiotów widzimy razem zmieszanych; tu sprzedają jarzyny obok materji krajowych, tam naczynia kuchenne obok broni. Rzeźnik rozkłada mięso, dopiero co zabitego bawołu, przy nim leży rekin albo sprzedają najlepsze ryby z morza jawańskiego.

Zapach najpiękniejszych kwiatów miesza się tu z nieprzyjemną wonią którą wydaje *dourian*, największy owoc krajowy i knoty z włókna kokosowego, palące się tu ciągle dla wygody amatorów cygar. Jednak rzecz dziwna, to co o mało nie udusiło mnie w Batawji, tu już prawie wcale nie razi, przyzwyczaiłem się do ciżby równie jak do gorącego powietrza, które już czasem mi jest miłe.

Część miasta jawańskiego jest prawie cała budowana z drzewa bambusowego, dostrzegłem zaledwie kilka gmachów murowanych, po-

między temi meczet i mur otaczający cmentarz jawański. Cmentarz ten stanowi główną różnicę pomiędzy ludnością jawańską i malajską; malajczycy grzebią gdziekolwiek swoich umarłych, często u drzwi chaty, albo wśród pola, jawańczycy zaś jedynie w ustronieniu na to poświęconém. Cmentarz podzielony jest na oddziały, dla uboższych i bogatych mieszkańców, bo i tu zachować chciano różnicę stanów w społeczeństwie.

W tém miejscu zobaczyłem po raz pierwszy, panującego książęcia Söerabaji, przyszedł właśnie modlić się, na grobie swoich ojców.

Jego ubiór bardzo prosty, nie odznaczał się od innych, jak tylko węzłem brylantowym u zawoju i piękną złotą klamrą u pasa. Kiedy wychodził w towarzystwie księdza razem z nim przybyłego, udałem się za nim i byłem świadkiem hołdów jakie oddają mu krajowcy; męczyzni, kobiéty i dzieci padają na kolana schylając czoła do ziemi i nie powstają, aż się oddali. Te publiczne, tak upadlające oznaki hołdów, ścisnęły mi serce, zwłaszcza kiedy pomyślałem, że człowiek ten podaje chętną rękę uciemiężeniu rodaków, a za to opływa w zbytkach kosztem złota europejskiego nabytych.

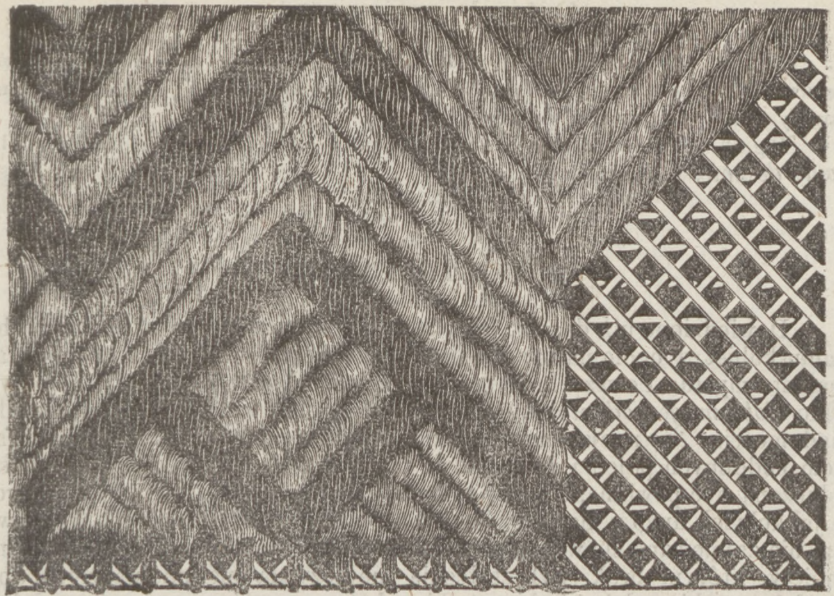
W téj części miasta zwanéj dzielnicą jawańską, zamieszkują puszkarze i złotnicy krajowi; nie można wyjść z zadziwienia, widząc jak proste narzędzia służą tym przemyślnym ludziom, do ich cudownych wyrobów. Mały tygielek i młotek dla złotnika, dla puszkarza proste kowadło i licha kuźnia oto już wszystko. Zwiedziłem także jeden z najznaczniejszych warsztatów, gdzie wyrabiają materje na tuniki tak poszukiwane od krajowców. Przeszło sto kobiét pracuje w wielkiéj sali, po temu urządzonéj. Najprzód rysują materje w różne najpiękniejsze wzory i napuszczają rzadkim woskiem a jak ten zastygnie, kładą całą sztukę do zimnéj farby, która przesiąka wszystko oprócz miejsc gdzie wosk był napuszczony. Po wyjęciu, ścierają wosk i napuszczają znowu w innych miejscach, gdzie druga farba dojść nie powinna i tak po kilka a nawet i kilkanaście razy maczać muszą, dopóki nie otrzymają tych pięknych materji, których świetne barwy i wzory, równają się najkosztowniejszém tkaninom. Ceny ich wysokie, bo też wiele pracy i zachodu kosztują. Tunika pięknie wykończona, bez plamek woskowych kosztuje sto franków, a ma tylko dwa metry i pół długości, a jeden szerokości.

W jednéj z moich przechadzek, widziałem obrzęd małżeństwa jawańskiego. Oboje państwo młodzi należeli do bogatych rodzin, niesiono ich w prześlicznym palankinie pod baldakimem, ozdobionym wieńcami z liści bambusowych i palmowych, bardzo pięknie uplecionych. Ubiór ich był z czerwonéj materji, haftowanéj złotem, klejnoty ozdabiały głowę, ręce i szyję, wszystko to dodawało im wspaniałości którą zresztą spotyka się tu zwykle przy podobnych obrzędach, szkoda tylko że te klejnoty są cząsto najęte na ten dzień jeden. Chmara uliczników biegła na około, krzycząc, skacząc i klaszcząc w ręce, albo grając na cymbałach, dzwonkach i t. d. Baldakim niosło czterech ludzi w świetnych ubiorach żółtéj barwy, z haftem niebieskim, w ręku trzymali długie laski bambusowe ozdobione na końcu bukietami z kwiatów i gałkami z kolorowego papieru. Za palankinem postępowali rodzice, krewni i cała drużyna weselna towarzysząca młodym małżonkom, a zaproszona na ucztę, po któréj młoda para udaje się do swego mieszkania. Ten pochód uroczysty poprzedzają jeszcze inne obrzędy o których wspomniéć musimy. Zaczynają się od zaręczyn, przy których oddają pannie młodéj rozmaite dary, jakoto: materje, klejnoty, a nadewszystko orzechy. Potém następują wizyty oddawane pannie młodéj przez rodzinę narzeczonego, wreszcie dają zapłatę za narzeczoną w materjach, owocach i klejnotach, w końcu następuje przysięga narzeczonogo w meczecie podług muzułmańskiego obrzędu.

Przyglądając się obchodowi temu, z zadziwieniem uważałem zmęczone i znudzone postacie nowożeńców, przestałem się jednak dziwić, kiedy powiedziano mi że te uroczystości trwają już od kilku dni, w czasie których oboje młodzi skazani są na post i zupełną nieruchomość, aby nie przepocili lub nie splamili najętych sukien. Dziwny to zwyczaj zaprawdę, ta wystawa zbytku często pożyczanego, a tak niepotrzebnego, choć i u nas znajdziemy podobny zwłaszcza przy pogrzebowych karawanach, a jednak śmierć i parada, to dwa słowa tak dziwnie brzmiące razem.

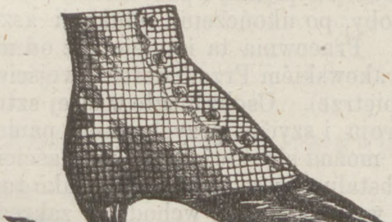
Dodajmy jeszcze że ten hałaśliwy obrzęd małżeństwa, może mieć cel rozsądny i użyteczny, zastępuje bowiem nasze zapowiedzi i listy zapraszające; słowem czyni publicznym związek dwóch osób. Niemogę tu pominąć wspomnienia o kuchni jawańskiéj. Przy każdéj uczcie dają naprzód owoce, ryż gotowany na parze, ryby suszone i t. d., potrawy ich i sosy są tak okropnie korzenne, że kiedy skosztowałem ich po raz piérwszy sądziłem że język mój i wnętrzności spalą się na węgiel. Pobiegłem do lustra obaczyć czy mam jeszcze skórę na wargach. Jednakże powoli przyzwyczaiłem się do tego rodzaju jedzenia, a nawet z czasem dosyć mi wszystko smakowało, z wyjątkiem jednakże liszek i mrówek, do których zawsze czułem obrzydzenie; żyłem też najwięcéj ryżem i rybami.

(D. c. n.)



Deseń do poszycia koszyka.

Ponieważ poszywanie koszyków jest obecnie bardzo w użyciu, podawszy w ostatnim dodatku model całego koszyka przystrojonego w podobny sposób, zamieszczamy obecnie deseń do zaszycia samego tła przezroczystego w koszyku, jeżeli ten wyrabiany jest ze trzciny w matowy deseń. Wyszycie to włóczką, składa się jak widzimy z zębów ściegiem prostym półkrzyżowym, jest szafirowe w miejscach ciemniéj oznaczonych, pąsowe zaś w jaśniejszych. Każden rzęd pąsowy tam gdzie się łączy z drugim, przerabia się prążką czarną, aby pokryć przeglądającą trzcinę, szafirowe zaś wyszycie prążką żółtą się otacza.



Bucik.

Buciki tego fasonu robią się na lato z szarego płótna lub piki w kratkę; u pani Żarnowskiéj na Krakowskiém-przedmieściu para kosztuje rs. 4.



Trzewik.

Trzewiki takie zdobne stalową sprzączką, jeżeli na wsi używać się mają na przechadzkę, powinny być z czarnéj cienkiéj skórki, jeżeli zaś są do pokoju, robią się tegoż koloru co suknia, kosztują u pani Żarnowskiéj złp. 15.

Opisanie ryciny mód.

Fig. 1. Ubiór spacerowy u wód lub na wsi. Suknia z wełnianego fularu we dwóch kolorach, mantyla z czarnéj wełnianéj koronki zwanéj *Lama*. Kapelusz okrągły z białym gazowym welonikiem.

Fig. 2. Ubiór spacerowy. Suknia z białéj alpagi ustrojona wodami z lila *poult de soie*, kapelusz okrągły.

O UBIORACH.

Dowiedziono już dawno, jak ważną jest praktyczna strona w wychowaniu kobiet, w ogóle nawet dawano jej zawsze pierwszeństwo nad ukształceniem umysłu. Powszechnie przyjętém jest zdanie, że kobiety, aby były tylko *dobremi gospodyniami*, obejść się mogą bez wszelkich innych nauk i wiadomości. Nie miejsce w sprawozdaniu o ubiorach rozwodzić się nad fałszem podobnych pojęć i dowodzić że praktyczność z ukształceniem umysłu połączoną być powinna; chcemy tylko zwrócić uwagę czytelniczek naszych, że jakkolwiek dużo u nas mówiono o tej praktycznéj stronie ich wychowania, nie zajmowano się wcale jakby ją ułatwić. Najczęściej też spotykamy kobiety, którym brak wykształcenia nie dozwala spełniać należycie obowiązków matki rodziny i obywatelki, a które przytém wcale nie są dobremi gospodyniami, niczem się porządnie zająć nie umiejąc i nie znając się na tém wszystkiem, co stanowi przymiot uważany dla nich za najważniejszy. Jedną z powszechnie zaniedbanych równie jak i wiele innych pożytecznych w wychowaniu kobiet umiejętności, jest nauka krawieczczyzny i wszelkich robót tego rodzaju. W ogóle (nie mówimy bowiem o wyjątkach, które się wszędzie znajdą) panienki nasze po ukończeniu edukacji mniej lub więcéj starannéj, umieją haftować, robić szydełkiem i t. p. rzeczy, nie mają jednak wyobrażenia o kroju i szyciu. Aby zaradzić podobnemu niedostatkowi, pani Grzywińska powzięła piękną i pożyteczną myśl, założenia pracowni, w którejby młode osoby, po ukończeniu edukacji kształcić się mogły w tego rodzaju robotach. Pracownia ta istnieje już od niejakiego czasu w pałacu Uruskich na Krakowskiém Przedmieściu (wejście główną bramą z dziedzińca, na drugiém piętrze). Osoby biegłe w swej sztuce, udzielają tam całodziennie nauki kroju i szycia przychodnim panienkom. O warunkach przyjęcia uczennic, można się dowiedzieć u właścicielki pracowni, która przyjmuje również obstalunki wszelkich robót, jako to: sukien, bielizny, kołder etc. etc. słowem wszystkiego co wchodzi w zakres kroju i szycia, starając się, aby roboty te były dobrze wykończone po cenach jak najprzystępniejszych. Spodziewamy się, że pożyteczny ten zakład w dalszym swym rozwoju zyska jak największe powodzenie. Ponieważ jak już wspomnieliśmy ceny przedmiotów, powierzonych do wypracowania pani Grzywińskiéj są nader umiarkowane, pewni więc jesteśmy, że nie zabraknie jej roboty. Uczennic dostarczą jej bezwątpienia wszystkie rozsądne matki, które pojmą łatwo, o ile ich córki znaleźć mogą korzyści w podobnéj umiejętności, chociaż stanowisko ich w świecie nie zmusza je do szukania w niéj chleba.

Z upoważnienia Warszawskiego Ober-Policmajstra. (Nr. 10.636).

W magazynie pani Adeli Hoffmanowéj oglądałyśmy kilka sukien z nowego zupełnie wyrobu zwanego *poil de chevre*, naśladującego do złudzenia, jedwabne materje pięknym połyskiem swoim. Jedna z takich sukien złotego koloru *maïs*, miała pasek, oraz ozdoby u góry i dołu rękawów, z gipiury czarnéj mieszanéj ze stalą i czarne jedwabne ze stalą guziki. Druga, biała, lśnią-

ca z wyrabianym u dołu szlakiem niebieskim, miała błękitne ubranie u rękawów i stanika, oraz pas tegoż koloru. Do trzeciej, białéj również z podobnemi lila ozdobami, był przygotowany burnusik *(mantelet algérien) z poil de chevre*, w białe i lila pasy, który razem wzięty z suknią, stanowił bardzo ładne ubranie. Na dowód jak często rzecz zrobiona z prostego materjału, może wyglądać strojnie i ładnie, nie możemy pominąć sukni ze zwyczajnego białego bareżu w cienką błękitną kratkę. Suknia ta miała wystrój z białego i błękitnego *poult de soie*, którego rzędy błękitne i białe tworząc falbanki namarszczone przez środek, szły po nad falbanką z bareżu na cztéry cale szeroką i tworzyły wyszycie fartuszkowe *(en tablier)* na spódnicy; ubranie rękawów, kanzucika zaokrąglonego z przodu do tyłu jak kaftanik *senorita*, oszycie szarfy od końców kanzucika spadającéj, a wreszcie garnirowanie berty wyciętéj czworograniasto (*carré*), która miała się kłaść na strojniejszy wieczór, do wygorsowanego stanika i krótkich rękawów. Oglądałyśmy także u pani Adeli śliczne tureckie pasy, przetykane jedwabiami i złotem *(ceintures géorgiennes)*, wiążące się węzłem z boku na wzór dawnych polskich pasów. Zdobią one niezmiernie strój, do którego stosownie dobrane. Kosztują po zł. 55, lecz złoto w nich dobre nie czernieje nigdy. Czepeczki i kapelusiki pani Adeli są prawdziwie jak gdyby wyszły z rąk wróżki, taklekkie, wdzięczne i pełne dobrego smaku. Z pierwszych podobał nam się czepeczek z lila krepy i białéj gipiury dla osoby starszéj, ranny również gipiurowy ubrany wstążką błękitną z białą frandzelką, biały z czarném ozdobny różą i pękiem pączków i tak zwane *coiffure papillon*, z czarnéj koronki i aksamitu *orange*, oraz czarnéj koronki i pąsowéj aksamitnéj wstążeczki.

Oprócz wielu innych, były trzy śliczne kapelusiki, jeden z białéj illuzji ubrany sznurami ze słomy i polnemi stokrotkami cały posiany, drugi krepowy biały, pokryty spadającym powojem fioletowym z zielonymi liśćmi, a trzeci krepowy *lapis*, przystrojony białą różą i szklannemi kroplami wody. Bardzo piękny także nowy wełniany materjał, z którego widzieliśmy burnusik u pani Adeli, jest *gros de Perse*, miękki, gładki i prześlicznéj białości. Burnusik ten był oblamowany białą wstążką i oszyty białą pasmanterją z grelotkami.

PRZEPISY GOSPODARSKIE.

Sposób warzenia piwa w garnku.

(przepis od prenumeratorki z Wiatki.)

Dwa wiadra wody wrzącéj wlać do dzieżeczki, jak cokolwiek przestygnie, wsypać 3 garnce słodu jęczmiennego, lub żytniego (można robić piwo po połowie téj proporcji), garniec 1 mąki żytniéj, otrąb żytnich lub pszennych garniec 1, mieszać to wszystko razem łopatką, wsypać plew pszennych, owsianych, lub żytnich, tyle, aby się z tego rozrobiło dosyć gęstawe ciasto; w razie gdyby nie było plew, można użyć sieczki ze słomy żytniej, pszennej, lub owsianej, nakładać do garnków dużych, które powinny być wypłukane chłodną wodą; u dna każdego garnka powinien być otwór zatknięty drewnianym kołkiem, aby nie przeciekało, tak jak się urządzają garnki do przetapiania miodu. W tym garnku założyć (na cal od dna, zostawiając puste miejsce) krzyż z drewnianych pałeczek, nalać trochę wody zimnéj, nałożyć słomy trochę na wierzch krzyża, na tę słomę kłaść wyżej przyrządzoną

rozczynę, nakładać nią niepełne garnki aby nie wypływała, polać trochę zimną wodą; wstawić do pieca na cały dzień i noc, (piec powinien być o tyle gorący, jak po wyjęciu chleba), przed wieczorem obejrzeć garnki, polać trochę z wierzchu wodą ciepłą żeby w nich nie zasychało. Nazajutrz rano wyjąć z pieca, nalać zaraz na słodowiny pełne garnki gorącéj wody, jak się woda schowa i trochę postoi, zcedzić przez otwór zrobiony w dole garnka piwo do jakiegobądź naczynia i dopóty powtarzać dolewanie wody gorącéj, póki się nie nacedzi piwa 3 lub 4 wiadra, można i więcéj dolewać i zcedzać chcąc mieć lżejsze piwo; odwar ten powinien być czysty, klarowny, słodki i lepki; jeżeli będzie mętny i białawy, to albo się mało po dolaniu wody ustał, lub piec był za chłodny i dobrze się nie zaparzył; w pierwszym razie dać dłużej postać, w drugim postawić na kilka godzin do pieca. Zcedzone piwo wlewa się do dzieżeczki i niech przestyga, tymczasem wziąść chmielu, na każde wiadro chcąc mieć mocniejsze piwo po dwie spore garście, włożyć do osobnego garnuszka, nalać tém samém zcedzoném piwem, nakryć garnuszek i gotować dobrze, jak wystygnie wlać ten chmiel nie cedząc go do piwa, wlać drożdży pół kwarty, posypać zwierzchu kwartą mąki pszennej, pomieszać, nakryć szczelnie i postawić spokojnie. Jak się chmiel wszystek zbierze na wierzch i po brzegach pokryje się białą pianą, wziąść czyste rzeszoto, włożyć do środka dzieżeczki z piwem i przez nie zlewać piwo do beczułki; chcąc go butelkować i mieć lepsze, zlać do garnków, nakryć szczelnie i wynieść na kilka godzin na zimno lub postawić na lód, żeby ostygło i ustało się. Po upływie kilku godzin, kiedy się piana zbierze na wierzch i zacznie czernieć, zebrać ją z wierzchu powoli niekłocąc i zlewać do butelek, korkować mocno i postawić na zimnie, a po dwóch lub trzech dniach można używać. Z pozostałych słodowin tu urządzają kwas dosyć dobry do picia; nalewają słodowiny w garnkach ciepłą wodą i przez otwory zcedzają do beczułek, aż póki woda nie będzie czystą; wrzuca się kawał ciasta z dzieży od chleba, sypie się garść mąki żytniéj i przez parę dni trzyma w ciepłém miejscu, aby ukwaśniał, potem wynosi się na zimno już dobry do picia; zebrane zwierzchu drożdże i te co się na spodzie garnka znajdują, zlewają się razem do naczynia i są do użycia. Trzeba pilnować aby piana, która się znajdzie na wierzchu piwa nie opadła, bo prędko będzie wtedy piwo kwaśnieć i szumieć nie będzie, rozlewać go więc do butelek gdy piana zacznie czernieć.

Przepis robienia bryndzy.

Zlewać mleko w gorące garnki nie zbierając śmietanki, postawić w ciepłém miejscu, żeby prędko skwaśniało. Nie zbierając śmietany odegrzać i zwyczajnym sposobem odcisnąć, ser taki drobniutko pokruszyć, wymieszać z solą i kminkiem, i dobrze wygnieść ze śmietaną, biorąc jéj kwartę na 1 garniec séra. Sér tak urządzony ułożyć na misce, przykryć liśćmi olszowemi, a po wierzchu płótnem umoczoném w piwie (takie płótno często trzeba odwilżać) i trzymać w spiżarni, bo w lochu nie tak prędko zgorzknie. Po upływie kilku dni, jeżeli powierzchnia sera oślizne, znów wymieszać ze śmietaną i tak samo przykryć i póty to powtarzać, póki bryndza nie nabierze goryczy i mocy.

Sér śmietanowy.

Śmietanę osolić, wsypać do smaku miałkiej gorczycy lub kminku, wlać w serwetę lub worek od séra, zawiązać i na 24 godzin zakopać w ziemi. Po wyjęciu używać. Sér taki nie konserwuje się dłużéj jak 2 lub 3 dni.



Imp. Becquet, Paris. E. Mille, Lith.

305.

KÓŁKO DOMOWE

Miesiąc Sierpień

1865.